

Tak ginąć to razem



Małgorzata Banaszkiewicz

Bonusowy rozdział do książki pt. *Jak ginąć to razem*

Rozdział 15b

Jesień 2027

15b. Miasto smoków

Niosę dwie otwarte butelki z piwem, patrząc pod nogi, by nie zrobić siary. Podnoszę wzrok i o mało co nie wypuszczam chlupoczącego płynu na błyszczącą szklaną kostkę. W ostatniej chwili łapię balans, po tym, jak zauważyłam, gdzie ulokował się Kuba. Oparł się plecami o filar, zadzierając lewą stopę na wysokość prawego kolana, wspierając ją o artystycznie zdobione szklane cegły. Patrzy teraz na mnie nikiemnym, wilczym wzrokiem z czyhającym uśmiechem w lewym zakamarku ust. Moje serce znów wierci się niespokojnie, gdy zapisuję ten obrazek w pamięci. On to chyba robi specjalnie. A może nadal nie wie, jak na mnie działa? Teraz już naprawdę muszę się napić. Gardło wyschło mi jak asfalt na speedwayówce w lipcu i jest równie gorące. Droga z Poznania do Zielonej Góry była spokojna. W końcu miałam pretekst, by pożyczyć Camaro od Oliwiera i prowadzić na drodze speedwayowej. [WOW] Teraz jego samochód bezpiecznie czeka na nas w hotelowym garażu, a my możemy odetchnąć. Dziś jest święto Zielonej Góry, dlatego nas zawiąło aż tutaj. Kuba wspominał o tym wyjeździe niedługo po koncercie Shadow of Intent, chyba go zainspirował do zagłębienia się w metal. Co prawda dzisiejsze wydarzenie związane jest z power metalem, a nie melodic deathcorem, ale ten klimacik

też lubię. Kuba zawsze tworzył tylko teksty hip-hopowe, ale jego dobór słów w połączeniu z metalem dla mnie brzmi jeszcze lepiej. Cieszę się, że go zainspirowałam.

–Eli, Ty już jesteś pijana? – Jacob klasycznie się ze mnie nabija ze zwierzęcą iskierką w swoich niebieskich tęczęwkach.

Patrzę na niego z udawaną dezaprobatą i uwalniając jedną dłoń od piwa, uderzam go w bok i wtulam się w jego czarną bluzę z kapturem.

–Sprawdzę, jaki mamy rozkład imprezy, żebyśmy niczego nie przegapili – mówię rozsądnie. – Usiądźmy sobie na chwilę.

–Spoczi Eli.

Jacob podnosi się z elementu architektury, który podpierał i dopiero teraz widzę, że to był ogon szklanego smoka zakończony lotką jak od gry w badminton. Oplata swym ciałem cały ogródek piwny, w którym się znajdujemy. Jego lewe skrzydło rozpościera się nad stolikami, tworząc ciekawą, półprzezroczystą osłonę przed deszczem. Idziemy więc do stolika, który jest zaraz przy smoczej głowie, żeby się jej dokładniej przyjrzeć.

Zwierzę wygląda tak, jakby broniło nas przed jakimś niebezpieczeństwem, osłaniając własnym ciałem. Ma obnażone kły, które idealnie wypolerowane, błyszczą ostrością w słońcu. Przez czerwony poblask na całym jego półprzezroczystym ciele i wiśniowe tęczęwki wygląda na wściekłego i zajadłego. Jego uszy położone wzdłuż ciała kończą się wiśniowymi frędzelkami, które sterczą sztywno i groźnie. Łapy, na których się opiera, wyposażone są w trzy długie szpony, dwa z przodu i jeden z tyłu. Zachwyca mnie jakość wykonania tej rzeźby i stan, w jakim jest utrzymana.

–Pochód zaczyna się za pół godziny. Rusza z ulicy Staszica, która jest zaraz za tym parkiem Tysiąclecia. – Obracam się wokół własnej osi. –

Parada będzie szła wzdłuż lasku, potem przez plac Jana Matejki i obok konkatedry pw. Św. Jadwigi Śląskiej.

–OK.

–Widziałam po drodze, że na stoisku obok baru leżą smartatlasy specjalnie wydane na to wydarzenie, zaraz po nie skoczę.

–A kiedy będzie konkurs?

–Zaraz po pochodzie na Starym Rynku. Tam właśnie kończy się marsz.

Stawiam piwo na podświetlanym stoliczku i idę po przewodnik po zielonogórskich mutacjach i miejscach wartych odwiedzenia. Przyda mi się ta wiedza, bo muszę zebrać materiał do postu na bloga. Chcę opisać tradycje związane ze zwierzęcymi mutacjami i powiązać je z historią miasta i legendami, które w tym mieście wiążą się ze smokami. Już widzę po nieznajomych, że będzie grubo. W ogródku piwnym nie zauważyłam, oprócz naszej dwójki, ani jednego normalisa. Wszystkie kobiety mają uszy szpiczaste jak elfy. Co to za mutacja? I co elfy mają wspólnego ze smokami?

–Wiedziałaś, że kiedyś święto Zielonej Góry skupiało się wokół winobrania? – mówię zaskoczona, studiując wstęp do smartatlasu.

–Coś Ty? Nie wiedziałem.

–Piszą tutaj, że wtedy symbolem był Bachus, grecki bóg winnej latorośli, dzikiej natury i płodności. Ludzie przebierali się w różne kolorowe stroje często związane z winoroślą, nosili na przykład wianki z liści tego krzewu. Zobacz, są nawet zdjęcia.

–Rzeczywiście, fajnie. {WOW} Widzę, że to czasy przed erą mutacji, ale już wtedy ludzie lubili się stroić.

–Przetrwała jedynie tradycja, że każdy mieszkaniec chce w tym marszu

uczestniczyć. Zielonogórzanie są bardzo związani ze swoim miastem. Dziś też będą występy różnych grup tanecznych, ruchome instalacje i pokazy. Tylko temat się zmienił. Smartatlas mi podpowiada, że jesteśmy w mieście smoków.

Kończąc lekcję historii, ruszamy w kierunku startu korowodu. Wkładam smartatlas tymczasowo do torebki, żeby w drodze móc cieszyć się otaczającą nas naturą. Mimo wrześniowej aury temperatura jest przyjemna. Drzewa nadal są porośnięte blaszkami liściowymi w ciepłych odcieniach, a część z nich razem z mchem, tworzy miękki dywan pod naszymi stopami.

–Jak to się w ogóle stało, że zielonogórzanie lubią metal? – pytam, chwytając Kubę za rękę.

–Ten ziomek Grobler urodził się tutaj i stał się sławny kilka lat temu przez *Smoczą grę* – odpowiada mi mój dwumetrowy towarzysz, puszczając moją rękę, by udawać, że celuje do smoka z łuku.

–Ten serial?

–Tak. Jego piosenki są tam wykorzystane jako soundtrack w ostrzejszych scenach. Trochę o tym poczytałem, przeglądając jego teksty pod kątem konkursu. – Kuba schyla się po kij, którym zaczyna wymachiwać przed swoją twarzą.

–Kurcze, muszę jednak zacząć oglądać ten serial. Ja nie czytałam nic o wykonawcy, ale jego utwory są super. Nie mogę się doczekać dzisiejszego koncertu. W zeszłym roku wygrała smocza legenda o samcach zabijających własne młode, a dzisiaj będzie premierowe wykonanie utworu.

–W tym roku wygra moja agresywna mimikra dźwiękowa – odpowiada mi Jacob z determinacją.

–No ja myślę! – odpowiadam, upajając się zapachem lasu i zachwycając

promieniami słońca przebijającymi przez wielobarwny baldachim z liści. Podbiegam do pobliskiego drzewa, by przyjrzeć się płomykówce, która właśnie zwróciła moją uwagę głośnym skrzeczeniem. Od kilku lat Park Tysiąclecia znany jest z tego, że wypełniają go sowy, bo zielonogórzanie postanowili wydać pieniądze ze swojego budżetu obywatelskiego na rozmnażanie tych puchatych zwierząt. Ich huczenie sprawia, że Zielona Góra ma niesamowity klimat, który dodaje mi pozytywnej energii. Idziemy wesoło przez las, aż docieramy do miejsca startu marszu i zauważamy sporą grupę mutantów, cyrkowców, tancerzy i ich stroje. Do oficjalnego startu pozostała jeszcze tylko minutka, idealnie zdążyliśmy. Postanawiamy, że będziemy się poruszać obok korowodu, a nie w środku, żeby jak najwięcej zobaczyć. Na czele ustawiała się grupa cyrkowa z niebiesko-złotym pojazdem w kształcie poziomej tarczy, nad którym na wysokości jakichś czterech metrów unosi się kobieta z ogromnymi skrzydłami, które wyglądają, jakby należały do przeogromnego nietoperza. Postać spokojnie robi pętelki w powietrzu, udając, że nie ma pod stopami tysięcy ludzi, patrzących na nią z zachwytem. Kobieta jest ubrana w jaszczurzo-zielony połyskujący strój, a spod ewidentnie sztucznych skrzydeł, wystają dwa jak najbardziej prawdziwie wyglądające ogony. Zauważam, że mój smartatlas ma funkcję skanera, więc mierzę nim do latającej na niebie mutantki. Okazuje się, że udało jej się wszczepić sobie dwa kangurze ogony, które teraz artystycznie zawijają się wokół jej ciała podczas podniebnych akrobacji.

– {WOW} Co to za technologia? – pyta mnie Kuba z zadartą głową. Rzadko ma okazję patrzeć na kogoś z dołu. Odpowiada mu król korowodu, którego głos wzmacniany jest przez prezenterką głośni na jego szyi. Okazuje się, że ta ekipa cyrkowa jest chlubą Zielonej Góry i jako pierwsza w Polsce wykorzystuje technologię odwróconej grawitacji z emiterem zamontowanym na pojeździe czterokołowym. Za nią podąża reszta

cyrkowców, wszyscy z ciałem pokrytym łuskami bardzo rzadkiego albinistycznego aligatora amerykańskiego. Zamiast włosów mają wiele rzędów kolców legwana zielonego na łysej skórze. Na dłoniach mają rękawiczki w kształcie smoczych głów z ukrytymi miotaczami ognia, którymi tworzą szybkimi ruchami węzowe zawijasy w powietrzu. Grupa liczy około setki żwawo poruszających się postaci. Ustawieni w strategicznych miejscach bębniarze nadają rytm ich ruchom. Przez muzykę przebijają się odległe porykiwania, które kojarzą mi się z lwem i drapieżnym ptakiem. Zwalniamy kroku, by zrównać się z grupą tancerek, które pokonują leśną trasę w podskokach zaraz za nimi. Kobiety mają nosy osłonięte żółtymi dziobami orłów białych, długie do pasa, rozpuszczone włosy i skąpe, zwiewne stroje ukazujące spiralne wzory ze skóry kajmana okularowego pokrywające całe ich ciała. Dziewczyny robią szpagaty w powietrzu i piruety, tworząc okazję do idealnych zdjęć dla skaczących wokół nich reporterów. Mają białe stopy, białe soczewki z pionowymi źrenicami w oczach i białe okrycia. Na ich głowach możemy podziwiać tradycyjne wianki z liści winorośli, które są znakiem rozpoznawczym tej zielonogórskiej grupy. Kolejny pojazd przyciąga nie mniej uwagi, paląc się niebieskim płomieniem. To nowocześnie wyglądający granatowy TIR z opływową kabiną, oponami z kolczastymi kołpakami i długą przyczepą, na której w akwamarynowym ogniu tańczy kolejny zespół. Tym razem to mężczyźni w czarnych legginsach z lwimi ogonami pokrytymi łuskami kajmana.

–Kurcze, wiedziałeś, że można zmutować mutacje? – mówię zszokowana.

–Nie. Gdyby nie smartatlas to bym się głowił, jakie zwierzę ma taki dziwny ogon. – śmieje się Kuba.

–Musi być ciężko mutować na zwierzę, które nie istnieje, do tego trzeba mieć większą wyobraźnię.

-No nie powiem, że ta latająca laska nie zrobiła na mnie wrażenia.

-Mnie się podobają Ci faceci. {AJJ} Tacy umięśnieni i mają fajne tatuaże, jakby podrapało ich jakieś wielkie zwierzę – mówię, patrząc w górę na Kubę zalotnie, specjalnie próbując wzbudzić jego zazdrość.

-Kolejna grupa nazywa się Fire Power, chłopcy należą do zielonogórskiej szkoły tańca z ogniem, której znakiem rozpoznawczym są charakterystyczne smocze ogony – przerywa nam donośny głos króla pochodu. – Wiem, że oni płoną, ale nie martwcie się o nich! {HAHA} To niegroźny fantom ognia z eko fasolek, który nie szkodzi ani ludziom, ani drzewom, więc nie musicie się też martwić o nasz wspaniały Park Tysiąclecia.

Po grupach tanecznych przyszła kolej na orkiestrę. Idą zwartym szykiem falując ciałem w rytm pierwotnych, folkowych rytmów. To Zaklinacze smoków, którzy grają na małych piszczałkach i miniaturowych bębnach, które wydają dudniące dźwięki. Malutkie kontrabasy, skrzypce i harfy również biorą udział w wydarzeniu, potęgując mistyczny klimat. Ich muzyka płynie jak morska fala przez morze kolorowych liści, zdając się wypływać wprost z targanych muzycznymi emocjami ciał filharmoników. Bębniarze mają wmontowane w szyje kolie z zębów krokodyli nilowych i ciemnozielone rękawiczki bez palców sięgające do połowy przedramienia zrobione ze skóry tych samych zwierząt. Instrumentaliści operujący smyczkiem mają po jednym ogonie czarnej salamandry na każdym kręgu i w linii wzdłuż obu rąk. Harfciarze mają języki waranów z Komodo i pionowe linie z ich skóry na wygolonych głowach. Filharmonicy grający na piszczałkach mają natomiast pod szczęką jasnozielone brody iguan, rogi frynosomy rogatej na owłosionych klatkach piersiowych i szerokie lniane spodnie. Cała orkiestra ma też dodatkową parę uszu nietoperzy, dzięki którym mają niezrównany słuch, dostarczający im boskiej przyjemności

z grania na instrumentach.

–Nie bez przyczyny zaprosiliśmy naszych Zaklinaczy smoków na dzisiejszą paradę! – grzmi głos prezentera. – Pomagają nam ujarzmić naszą udomowioną bestię – Bachraję!

Po tych słowach odwróciliśmy się z Kubą równocześnie w stronę końca pochodu i patrzymy na wielkiego, białego smoka, a właściwie smoczycę, na której grzbiecie siedzi dumnie kobieta w koronie z zębów krokodyla różańcowego, z naszyjnikiem i nausznikami z tych samych zębów. Ubrana jest w piękną, szmaragdową suknię i widać jej pazury i skórę rąk z zielonego legwana.

–Nie bójcie się Bachrai! Choć wygląda bardzo realistycznie, to tylko fantom 4D przygotowany specjalnie na dzisiejsze show po paradzie. Marianna jest jednak jak najbardziej prawdziwa. To czołowa aktorka lubuskiego teatru. Jak utrzymuje się na naszym smoku? Niech pozostanie jej słodką tajemnicą – komentuje król parady.

–Na pewno przygotowali po prostu jej hologram – dorzuca Kuba.

–Bachrai możemy zobaczyć, poczuć jej siarczany zapach, usłyszeć jej ryk i pół-dotknąć. Nic się Wam jednak przy niej stać nie może, jej ogień jest niegroźny, a pół-dotyk to jedynie ulotne wrażenie.

Smok, sterowany zręcznymi palcami programisty, daje pokaz swoich umiejętności, wypuszczając słup ognia zza ostrych kłów i rycząc do granic swoich możliwości. Patrzymy z Kubą na siebie z niedowierzaniem i powiększonymi źrenicami. Jego niebieskie oczy są teraz prawie czarne. Idziemy obok Bachrai, podziwiając jej ogromne białe łapy w różowe plamki, każda z czterema zakrzywionymi jak haki pazurami. Jej cielsko kołyszące się nad naszymi głowami ma przykurczone wielkie, półprzezroczyste skrzydła z cienkiej skóry, z widoczną siatką z czerwonych krwinek. Bachrai ma

bardzo długi i gruby ogon zakończony lotką w kształcie płetwy orki. Całe jej ciało pokrywają różowawe kolce, a skóra mimo jasnego koloru wydaje się niezniszczalna. Bardzo długa szyja kończy się smukłym pyskiem z małymi, sterczącymi uszkami w kształcie trójkątów. Różowe znaczenia na jej pysku wyglądają tak, jakby dopiero co wyszła od makijażystki, wijąc się wokół jej oczu i tworząc symbol ognia na jej czole. Będąc tak blisko, rzeczywiście czuję zapach siarki i słyszę każdy charczący oddech tej bestii.

Wychodzimy z lasu, a smok w mieście robi jeszcze większe wrażenie. Nie jest jednak jedyną atrakcją Zielonej Góry. Widzę po swojej lewej rondo 11 listopada, gdy przechodzimy na drugą stronę ruchliwej ulicy.

–Widać już tunel! – krzyczę podekscytowana.

–Rzeczywiście i chyba nawet są w nim jakieś margaje.

–Na placu Jana Matejki znajduje się osławiony azyl dla ocelotów nadrzewnych, które znane są ze swojej zwinności w poruszaniu się po drzewach – czytam opis miejsca ze smartatlasu. – W 2019 roku miłośnik kotów Michał Alanowicz kupił tereny po dwóch stronach ulicy i zaadoptował je na potrzeby ocelotów. Te koty uwielbiają spędzać czas na wysokościach, więc zrobił dla nich przezroczyście tunele nad ulicą, by miały ciekawe zajęcie w postaci obserwowania ruchu ulicznego. Na obu połączonych połaciach terenu jest sztuczny gąszcz lasu tropikalnego pod dwiema kopułami, by koty miały warunki jak najbardziej zbliżone do naturalnych. Od tamtej pory amerykańskie margaje stały się kolejnym symbolem Zielonej Góry i są entuzjastycznie witane przez przechodniów. – Kończę czytać i zadzieram głowę, bo właśnie przechodzimy pod jednym z tuneli. Przez przezroczyście ścianki widzę małego kota wygodnie wyciągniętego wzdłuż tunelu, patrzącego na mnie

z ciekawością.

–Ale ma fajne cętki! – zachwyca się Kuba.

–A zobacz na te słodkie łapki! – mówię, czując, jak moje oczy rozpuszczają się z nadmiaru słodyczy.

Wpadam przypadkiem na mutantkę, która również zapatrzyła się na kota i ze śmiechem mówi, że tutaj często zdarzają się takie wypadki. Mimo wszystko przepraszamy się nawzajem i mam okazję przyjrzeć się jej elfim uszom. Okazuje się, że to zwykłe nauszniki w kształcie smoków ze skrzydłami wyciągniętymi w górę pod takim kątem, że tworzą z daleka złudzenie szpiczastych uszu właścicielki. Widzę już z daleka konkatedrę Jadwigi Śląskiej. Niesamowite, że przetrwała do 2027 roku, większość takich budowli zastąpiono nowoczesnymi, oszklonymi gigantami. Widocznie zielonogórzanie bardzo dbają o swoją historię. Gotyckie cegły to spora odmiana przy wszechobecnych błyszczących szklach i półprzezroczystych, kolorowych kostkach. Smartatlas wyświetla mi zdjęcia wnętrza kościoła, w tym barokowe i renesansowe elementy.

–Zobacz jaki fajny chór na antresoli, teraz już się tak nie buduje.

–Rzeczywiście ładny, taki bogaty – śmieje się Kuba. – Ciekawe czemu nie przerobili tego budynku.

–Może dlatego, że to konkatedra, a nie zwykła katedra.

–A co to znaczy? Jest level wyżej? – mówi Kuba z zawadiackim uśmieszkiem, który tak lubię.

–Można tak to nazwać. Zobacz na te drzwi. Są ze spiżu. Wypas, co nie?

–Zakładam, że nie są obrotowe? – mówi Kuba, po czym zanosi się śmiechem.

Kiwam tylko głową ze śmiechem i szukam już dla nas miejsca na Starym Rynku.

–Odpocznijcie sobie kochani spacerowicze! Musimy dać naszej Bachrai kwadrans na odpoczynek, bo będzie główną aktorką podczas koncertu Groblera. – oznajmia donośnym głosem król parady, puszczając do nas oczko. – Pamiętajcie o nausznikach dla małych dzieci. Power metal to nie przelewki! Będzie głośno! Będzie krwawo! Będzie ogień! Zostańcie z nami – kończąc zdanie, hologram prezentera znika z dachu ratusza, na którym przed chwilą się pojawił.

Siadamy z Kubą przy jednym ze stolików ustawionych wokół ratusza miejskiego, który najwidoczniej będzie dzisiejszą sceną. Tym razem Kuba wstaje, by przynieść nam coś do picia, a ja podziwiam centralną budowlę placu. Smartatlas mówi mi, że cały budynek zbudowany został od zera w 2025 roku. Parter budynku został stworzony jako odwzorowanie pierwszego, drewnianego zielonogórskiego ratusza z XV wieku. Z każdej strony ma pięć rzeźbionych w smoki filarów, a każdy jest inny. Kuba kładzie mi przed nos kolejne piwo, a ja wysyłam mu w zamian buziaczka i czytam dalej. W centralnym punkcie dachu wybudowano ultranowoczesną wieżę z czarnego turmalinu oplecioną szklanymi lianami z półprzezroczystymi, zielonymi liśćmi. Podnoszę wzrok i stwierdzam, że pięknie błyszczą w słońcu. Wieża jest na planie kwadratu o boku długości trzech metrów. Wzwyż unosi się na dziesięć metrów i ma płaski wierzchołek. Ciekawa konstrukcja. W dzień powszedni można usiąść tuż obok wieży, ale dziś są tam rozstawione instrumenty i kilkumetrowe głośniki. Wygląda na to, że tekst będzie wyświetlany na każdym boku, żeby z każdej strony można go było odczytać. Najpierw podadzą wyniki konkursu na najlepszy tekst o smokach 2027 roku, w którym Kuba wziął udział. Miał wymyślić tekst pod konkretną melodię power metalową Groblera tak, by on mógł to zaśpiewać.

Premierowe wykonanie tekstu roku 2026 z teledyskiem 4D odbędzie się po ogłoszeniu wyników.

–Zapraszamy Groblera na scenę! – grzmi, nagle zmaterializowany na wierzchołku wieży hologram króla pochodu.

–{WOW} Eli! Zobacz, kto będzie wręczał nagrodę – ekscytuje się Kuba, teatralnie zacierając swoje długopalczaste dłonie.

–Witam mieszkańców smoczego miasta i wszystkich gości! – krzyczy do mikrofonu wokalista ubrany w skórzane spodnie z mnóstwem łańcuchów, zielone glany i T-shirt ze smokiem. – Jak się bawicie?! – pyta, głaszcząc się po długich włosach zapiętych w luźny kucyk.

Ukontentowany okrzykami publiczności zaczyna opowiadać o trudnym procesie wyboru odpowiedniego tekstu. Mówi o tym, jak niektórzy chcieliby wpasować proste monorymy do bogatych dźwięków power metalu.

–Nie no, tak to nie można robić. – Kubuś się krzywi. – Nie jesteśmy w przedszkolu.

–Jeden tekst na tyle przykuł jednak moją uwagę swoim nowatorstwem, że nie miałem wątpliwości, że chcę go zaśpiewać. Od razu zaczął klarować mi się pomysł na teledysk. Nie będę przedłużał, bo nie mogę się już doczekać spotkania z autorem. Bezsprzecznie wygrywa Kuba Wilczuk! Chodź do nas kolego! – oznajmia uradowany metalowiec.

–Eli, czy on właśnie powiedział, że wygrałem, czy mi się przesłyszało? – mówi zszokowany, mimo wcześniejszych żartów, Kuba.

–Tak! To Ty! Idź! – Wypycham go z jego osłupienia.

Nagle ożywiony Jacob wstaje i idzie pewnie, charakterystycznymi dla siebie, długimi krokami w stronę wejścia do ratusza. Patrząc na jego oddalającą się postać, niezdradzającą wewnętrznego zdenerwowania i czuję dumę. Mój Kubuś najlepszy ze wszystkich! To znaczy, że poznamy Groblera! [SUPER]

Po chwili napięcia, podczas której myślami wspinałam się po schodach razem z moim wybrankiem, widzę go już na scenie. Jego luźne spodnie, biała koszulka i przystrzyżone na Boykę blond włosy mocno kontrastują z wyglądem metalowca, który właśnie mu gratuluje.

–Siemano, stary! – mówi radośnie Grobler. – Szczerze mówiąc, spodziewałem się kogoś bardziej w moim stylu. {HAHA} – mówi artysta, mierząc Kubę wzrokiem od dołu do góry. – Twoja praca jest wyjątkowa, muszę przyznać, że z tą mimikrą to mnie zagiąłeś, stary! Musiałem to wygooglować. Zachowanie, które opisuje Kuba, jest jak najbardziej naturalne wśród zwierząt, sam sprawdziłem! – zwraca się do publiczności, a po chwili podaje mojemu raperowi jakieś pudełeczko. – Proszę, o to wycieczka dla dwóch osób do Bułgarii. Mam nadzieję, że masz z kim jechać Kuba!

–Tak, pojedę z moją Elizą. Ona jest fanką metalu i mnie zainspirowała – odzywa się pierwszy raz Jacob.

–Czad – odpowiada mu Grobler, potakując głową. – Mam nadzieję, że pogadamy w trójkę po koncercie.

–Zapraszamy teraz laureata do swojej wybranki! – przejmuje głos król parady. – Teraz nasz juror odczyta tekst roku 2027, którego autorem jest Kuba Wilczuk z Poznania. Wielkie brawa dla zwycięzcy!

Kuba wraca do mnie w hałasie tysięcy dłoni, cały w kokonie z pozytywnej energii, błyszcząc rozweselonymi oczami. Wzdycham mimowolnie i napawam się naszym szczęściem. On jest taki cudowny, taki odważny, taki inteligentny.

–O kurczaki, Eli. Wiem, że gadałem głupoty wcześniej, ale nie spodziewałem się, że wygram {HAHA} – mówi, wykrzywiając teatralnie usta w uśmiechu.

Chowam się w jego uszczęśliwionych ramionach i razem słuchamy

Kubusiowych słów. Stworzył opowieść o potomkach dobrej smoczycy Luny urodzonej w Zielonej Górze. Prawdziwa legenda mówi, że to zwierzę było udomowione i miało swoich ludzkich przyjaciół, którzy zostali porwani. Luna ich szukała i ronila łzy, z których ludzie później budowali domy. Ta opowieść mówi o dalszych jej losach.

Gdy Luna poleciała ona na poszukiwanie swoich zaginionych przyjaciół, musiała wylądować w Gryżyńskim Parku Krajobrazowym. Tam urodziła w wąwozie trzy małe smoczątka. Była jednak w głębokim smutku i uznała, że nie jest dość dobra, by wychować młode. Rozpacz przesłaniała jej zdrowy rozsądek i po jednym dniu, zostawiła potomstwo w lesie i odleciała. Smoczki były narażone na wiele niebezpieczeństw, ale obfitość robaków i bliskość jeziora pozwoliły im przetrwać. Gdy po tygodniu potrafiły już dobrze chodzić, zaczęły przemieszczać się po parku i uczyć życia bez przewodnika. Smoczyca powróciła do wąwozu po odnalezieniu Karola i jego żony, ale było już za późno. Młodych dawno już tam nie było. Przez kolejne tygodnie smoczyca szukała swoich dzieci znów pogrążona w żałobie. Dopiero zdała sobie sprawę z tego, co uczyniła. Dała jednak w końcu za wygraną i wróciła do przyjaciół. W tym czasie małe smoki przybierały na sile i uczyły się jakie odgłosy wydają różne zwierzęta, próbując domyślić się, do jakiego gatunku należą. Z czasem nauczyły się języków wszystkich zwierząt, ale nadal nie wiedziały, kim są. Pewnego dnia zrozumiały, że są większe i silniejsze niż wszystkie inne zwierzęta i zaczęły wykorzystywać swoje umiejętności do wabienia ofiar w pułapkę. Końcowa scena z piosenki przedstawia smoka ukrytego w głębokim wąwozie kwilącego jak małe dziecko i zmartwionego mutanta biegnącego w stronę zasadzki.

- Kto by pomyślał, że dzieci udomowionej Luny będą takie niebezpieczne!
- krzyczy do mikrofonu zachwycony Grobler. – Teraz już wiemy, że to dzięki smokom powstało zjawisko agresywnej mimikry dźwiękowej,

dziękujemy Kuba!

–A teraz czas na premierowe wykonanie piosenki pod tytułem Tato, to ja – przejmuję głos prezenter. – Muzykę oczywiście napisał Grobler, nie kto inny! Natomiast tekst do piosenki stworzyła zeszłoroczna laureatka zielonogórskiego konkursu – Aleksandra Milaszek. Zapraszamy na finałowe show święta Zielonej Góry!

Gdy zaczyna płonąć ekoogień na drewnianych filarach ratusza, Kuba mocniej mnie przytula. Tym razem ogień jest rubinowoczerwony i mimo że nie jest niebezpieczny, przed budynkiem na każdym boku spaceruje, w odległości dwóch metrów od filarów, policjant. Standardowo, każdy ma dodatkową, hybrydową parę łap goryla, które trzyma splecione na plecach i czerwony mundur. Na płaskim wierzchołku wieży ratuszowej pojawiło się gniazdo z dwoma jajkami wyglądającymi jak ogromne, idealnie wypolerowane szmaragdy. Zespół Groblera zaczyna grać, a agresywna muzyka przyprawia mnie o dreszcz zachwytu. Perkusista nie oszczędza bębnów i talerzy, a dwóch gitarzystów popisuje się niesamowicie szybkim tempem gry. Z ptasim, lwopodobnym rykiem po naszej prawej zjawia się Bachrai. Tym razem możemy ją podziwiać w locie. Skrzydła o cienkiej półprzezroczystej skórze, zdają się unosić w powietrzu sześć ton białego smoka. Grobler naśladuje smoczyce growlem i śpiewa o trudach młodej, smoczej matki. Bachrai codziennie musi zjadać 200 kilogramów mięsa i jednocześnie pilnować jaj. Nie jest to łatwe, więc często zmusza się do jedzenia korzeni drzew, które nazywa fast foodem. Poświęca się dla dzieci, by jak najwięcej czasu strzec jaj. Jest jednak przez to osłabiona i ma mało energii. Gdy siada w gnieździe, muzyka się uspokaja. Słysząc skrzypce, a Grobler szepcze do mikrofonu Śpij, śpij słodko. Nagłe wejście gitar elektrycznych i aktywacja perkusisty następuje równocześnie z pojawieniem się na niebie drugiego smoka. Publiczność wydaje zduszone okrzyki, a Grobler znów growluje

słowa piosenki w przyspieszonym tempie. Drugie zwierzę jest jeszcze większe. Jego głowa, szyja, brzuch i łapy są ciemnobrązowe, a na wierzchu jego ciało jest pokryte krótkim, ciemnozielonym futrem. Oprócz wielkich jadeitowych skrzydeł ma jeszcze grzywę ze skóry wokół pyska jak u agamy kołnierzystej. Smok wydaje z siebie dźwięk, którego można by się spodziewać po ośmiotonowym lwie. Głęboki, niski i przerażający. Bachrai budzi się i w ostatniej chwili unika płomienia, który podpala suche gałęzie w gnieździe. Jaja na szczęście są całkowicie odporne na wysoką temperaturę i leżą niewzruszone liżącymi je językami płomieni. Smoczyca jest wściekła i adrenalina płynąca przez jej widoczne pod białą skórą żyły, podświetla ich rozgałęzienia. Lepiej teraz widać też symbol ognia na jej czole. Bachrai zionie ogniem w przeciwnika i ten ulatuje nad nasze głowy. Zauważam, że na gadzich łapach ma poduszki jak u kota i chowające się pazury. Bachrai staje na wieży, osłaniając jaja własnym ciałem. Napastnik gryzie ją w nogę, a ona uderza go ogonem. Krew leje w dół wieży ratuszowej, a Bachrai wydaje z siebie przeraźliwy ryk. Piosenka grana przez Groblera znów przyspiesza, dodając grozy. Samiec łapie Bachrai za ogon zębami. Odwraca tym jej uwagę, a własnym ogonem, zakończonym dwudziestocentymetrowym szponem, owija się wokół wieży i od tyłu wbija się w jajo, zahacza je, i rozbija o pobliską kamienicę. Bachrai ze wtórującym jej Groblerem wydają ryk rozpaczy. Smoczyca łapie jedyne jajo, które jej pozostało w pysku i walczy z drugim smokiem tylnymi łapami. Udaje jej się poharatać mu pysk, więc samiec cofa się, pożera potłuczone jajo w całości i odlatuje. Bachrai kładzie ostrożnie swoje niewyklute młode w gnieździe, ale powłoczka pęka. Muzyka zamiera razem ze smoczycą. Po chwili z jajka wykluwa się mały smok, zaczyna się kręcić w środku i zlizuje krew matki z gniazda. W końcu to syn swojego ojca. – Tymi słowami kończy piosenkę Grobler.

–{WOW} To też była fajna historia – mówi zachwycony Kuba wprost do

mojego ucha, przyprawiając mnie o dreszcz.

–Ja jestem pod wrażeniem samej muzyki. {WOW} Power metal i smoki 4D, będzie co wspominać. Mam nadzieję, że będą fajne zdjęcia z wydarzenia, to sobie wywołamy.

W tym momencie zauważam idącego w naszą stronę Groblera. Kuba nas zapoznaje, po czym muzyk dosiada się do naszego stolika.

– Mówcie do mnie Olaf – podpowiada ze śmiechem matalowiec.

Jestem na Ty ze znanym na cały świat wokalistą. [AAAA] Cudo.

–Olaf! Gratuję występu, był niesamowity! – chwale go szczerze zachwycona.

–Dzięki. Słyszałem, że lubisz metal?

–Tak, bez niego bym nie przeżyła. – Szczerzę się w odpowiedzi. – Ciekawi mnie, jak wygląda życie sławnego metalowca?

–Wiesz, ciągle w trasie, ale ja to kocham. Nie jestem zwierzęciem terytorialnym. – śmieje się nasz nowy kolega. – Zwiedzam świat i ciągle zajmuję się tym, co mnie pasjonuje.

–{SUPER} Ja pracuję w korpo, więc dla mnie to jakiś kosmos.

–Przy takim trybie życia całą moją rodzinę stanowi pies, który jest dla mnie jak synek. {HEHE} Ma swoje klimatyzowane pomieszczenie w moim koncertowym busie.

Kuba wypytuje Groblera o to, co zwiedził i wygląda na zachwyconego takim życiem. Tak naprawdę dość samotnym, mimo wiwatujących tłumów. Olaf składa mu propozycję, by pisał dla niego teksty, ale on się nie zgadza. Mówi, że tym akcentem kończy swoją przygodę z metalem. To nie jego klimat. Z jednej strony cieszę się, że nie wyjedzie nagle w trasę, ale z drugiej jest mi smutno. Powiedział to tak, jakby miał już wszystkie swoje koneksje

z metalem ukrócić. Chcąc pokazać metalowcowi klimat hip-hopu, Kuba zaczyna rapować tekst, którym dzisiaj wygrał konkurs. Zaczyna kiwać się w rytm bitu, który słyszy w swojej głowie i znika z naszej rzeczywistości do swojego świata. Przedstawia trochę bardziej surową wersję tego tekstu, bez cenzury i z niewidzącym wzrokiem. Patrząc na niego zachwycona. Olaf zaczyna w strategicznych miejscach dorzucać growl i wkręca się w rytm. Gdy Kuba kończy, Grobler jest już niezłe nakręcony na tworzenie muzyki. Zaczyna szybko mówić o metalowych riffach i wokalu we flow hip-hopowym. Planuje połączenie dwóch gatunków. Chce tworzyć muzykę metalową z głosem Kuby i swoim growlem. Mój facet jednak stanowczo odmawia. Chce pisać o życiu ulicy i kocha hip-hopowe bity i sampelki. Chyba czas złagodzić sytuację. Wyrażam nadzieję, że Olaf znajdzie rapera, który będzie chciał z nim grać. Mówię, że chętnie posłucham takiej mieszanki. Trochę mi przykro. Miałam już piękne wyobrażenia o symbolicznych dla mnie hip-hopowo-metalowych połączeniach. Takich jak Jacob i ja. Wiem jednak, że nie ma sensu go do niczego zmuszać. Nie chcę, by pomyślał, że chcę go kontrolować. Pytam więc Olafa o zwyczaje zielonogórskie, żeby zmienić temat. W końcu tutaj się urodził.

–Jak tylko zaczęła się moda na zwierzęce mutacje, odkopano zielonogórską legendę o dobrej smoczycy, która kiedyś tutaj mieszkała i zaczęto się nią chwalić. Wszyscy obywatele miasta i ludzie pracujący w Zielonej Górze mają dofinansowanie na smocze mutacje. To jest taki przywilej i jednocześnie zaszczyt, takie oficjalne przyjęcie do grona mieszkańców. Miasto chce, by każdy, kto tutaj na stałe przebywa, związał się również emocjonalnie z tym miejscem. A że nie ma żywych smoków, najpopularniejsze są tutaj wszelkie gadzie części ciała do mutacji, chociaż sam fakt mityczności smoków daje duże pole do popisu. Ja mam tylko tatuaż smoka na plecach, jakoś nie jarają mnie mutacje, ale

co kto lubi – mówi Grobler, wzruszając ramionami.

–My też nie podążamy za tą modą – przyznaję.

–Te ekipy cyrkowe i taneczne to już poleciały na maxa, ale widziałem też, że nawet małe dzieci mają jakieś wzorki z gadziej skóry – komentuje Kuba.

–Tak, wprowadzono takie szkolne wzory dla uczniów, zamiast mundurków. Za moich czasów to się nosiło identyfikatory. {HAHA}

–Serio? To każda szkoła ma inny wzór? – dopytuję.

–Tak, wszystkie te mutowane tatuaże robi się na dłoniach. Jest to wygodniejsze dla rodziców i uczniów, bo nie muszą pamiętać o żadnej plakietce. Z kolei nauczyciele są pewni, że do szkoły nie wejdzie ktoś nieproszony.

–I to jest za darmo?

–W publicznych szkołach tak. W prywatnych trzeba płacić, ale za to wzory są czaderskie.

Wracamy do tematu legend i chłopcy znów wkręcają się w rozmowę. Na szczęście Olaf nie wygląda jakby miał Kubie za złe brak chęci współpracy. [UFF] Fajnie. Obaj lubią legendy i mity, więc Grobler nas dokształca w sferze zielonogórskich opowieści, a Kuba rewanżuje się historiami o słowiańskich bogach. Obaj żywiołowo opowiadają i gestykują. Mimo pozornych różnic widzę, że są do siebie bardzo podobni. Obaj mają śmiesznie skomplikowaną mimikę, ale coś nieuchwytnego w ich ruchach, nasuwa na myśl dwa sprzeczne nurty muzyczne, które reprezentują.

Zapraszamy się do znajomych na Facebooku, żeby nie stracić kontaktu i o północy zwijamy się do hotelu. Mimo późnej pory idę sprężystym krokiem, podskakując tu i tam co jakiś czas, uwalniając skumulowaną

energię. Tyle dziś wrażeń, że poziom adrenaliny przekornie nie chce opaść. Kuba poczuł się jednak zmęczony, idzie teraz spokojnie obok mnie, paląc w zamyśleniu papierosa. Nasz hotel jest blisko, musimy przejść tylko kilka uliczek. Wdycham jesienny zapach liści i zatrzymuję się nagle, szybciej niż myślałam, że jestem w stanie. Na kolejnej wąskiej uliczce widzę ciała kilkunastu zagryzionych szczurów wielkości królika, porzucanych beładnie na całej szerokości ulicy. Zauważam, że jeden z nich się rusza. Z obrzydzeniem patrzę jak szary szczur zawinięty w kulkę, gryzie się w nasadę ogona. Po chwili ogon odpada, a zwierzak zaczyna przekłuwać własny brzuch ostrymi, żółtymi zębami. Wylewają się wnętrzności i gryzoń umiera z piskliwym jękiem bolesnej agonii. Patrzę na to wszystko, nie ruszając nawet powiekami i po chwili budzę się z odrętwienia. Kuba wskazuje na coś ręką. Podążam wzrokiem w tym kierunku i kilka kroków dalej widzę człowieka, który jeszcze do niedawna był zdrowym normalsem. Leży teraz z wygryzionymi oczami i zalany krwią, sączącą się z małych ran szarpanych. Nie zauważam już zwyczajowego luzu i spokoju u Kuby, tylko dogłębne przerażenie, przebijające przez jego szeroko otwarte oczy. Bez słowa zaczyna ciągnąć mnie do bezpiecznej przystani hotelu. Próbuję nadążyć za jego długonogim pośpiechem, ale on musi zwalniać, by nie rozłączyć naszych dłoni. Biegniemy bez odwracania się za siebie i wpadamy zdyszani do hotelu. Zamykamy za sobą drzwi pokoju i biegniemy do okna. Spogląda na nas spokojna, pusta ulica, którą dopiero co opuściliśmy. Żółte, ciepłe światło latarni kontrastuje z czarnym terrorem w naszych sercach. Zasłaniam okno, zapalam światło i wskakuję pod kołdrę. Kuba przytomnie wzywa policję i po wciśnięciu czerwonej słuchawki, niespiesznie zmierza w moją stronę. Czuję, że moja twarz jest sztywna i pozbawiona możliwości mimicznych. Wszystko, co widzę, przypomina mi szczura. Nasze buty na wycieracze, leżąca obok mojej głowy poduszka, a nawet nowoczesny

żyrandol. Cały czas uważnie nasłuchuję szmerów cofniętymi z przerażenia uszami. Kuba chyba jest w stanie jakiegoś otępienia, bo wygląda, jakby nic nie widział zmęczonymi, nieruchomymi oczami. Wtulam całe ciało w jego ciepłe objęcia i wdycham znajomy zapach, który mnie uspokaja. Milczymy tak przez godzinę, nasłuchując syren policyjnych i ludzkiej wrzawy. Bez słowa zasypiamy.

Następnego dnia relacjonuję wydarzenia na moim blogu. Chciałam zebrać kolejne materiały o mutacjach, a zdobyłam znacznie więcej. Wczorajsze wydarzenie może być kluczowym aspektem mojego prywatnego dochodzenia w sprawie krzywdzenia zwierząt. Mam przeczucie, że ta sprawa ma związek z mutacjami, a zachowania tych szczurów z pewnością nie można uznać za normalne. Po śniadaniu pakujemy się i ruszamy w trasę. Na wolności jest morderca i truciciel zwierząt, wolimy więc schować się w znajomym miejscu.